

W imię byle czego

Gdy w kasie Dworca Centralnego prosisz o drugą klasę konieczną dla palących, czujesz, że znowu zrobiłeś z siebie durnia. Odchodzisz, krokiem człowieka z góry przegranego schodzisz na peron, pociąg już stoi, jest prawidłowy wagon, jest właściwy przedział, miejsce tuż przy gustownej popielniczce, zasiadasz, dyskretnym gestem sprawdzasz po kieszeniach rozmieszczenie paczki i zapalniczki, jest paczka, jest zapalniczka, na razie wszystko w porządku, pozornie wszystko się zgadza. Jest dobrze.

Oszukujesz się. Przecież wiesz, że się oszukujesz, że zaraz podniesiesz spłoszony wzrok i ujrzysz to, co zawsze widzisz w przedziałach drugiej klasy koniecznej dla palących, wiesz to wszystko, więc po co się oszukujesz? Naprzeciwko, oko w oko, nos w nos siedzi ona, siedzi i węższy. Przyszła pół godziny przed tobą, żeby się solidnie przygotować do fundamentalnego starcia z ciemnym widmem nikotyny. Matka Polka Niepalących, Ordon Świeżego Chuchu Narodowego, Madonna - jakby to ujęli bohaterowie twego ulubionego serialu „Allo!Allo!” - Madonna z wielkim, nieskalanym smołą cycem, siedzi potężnie i sinym okiem rekina bezlitośnie analizuje aktualny stan twojej cery. Nie jest dobrze. Wie już, że palisz i ma pewność, że tutaj w życiu nie zapalisz, aż do Krakowa. Znowu przegraste, nie zdobędziesz się, nie masz najmniejszych szans, bo pociąg właśnie rusza, a Madonna - niczym Antoni Czechow - prawić zaczyna o szkoldności palenia tytoniu. Gdzieś koło

Kielc pada fraza, która cię do reszty przekonuje. *Wiecie państwo, ja sobie tak myślę, że palących to właściwie należałoby zabić.* Wychodzisz na korytarz, papieros, zapalniczka, żyć się chce. Wolisz, żeby cię ewentualny rak nadszarpnął, niż żeby cię pożarł rekina z wielkim cycem. Wszystko pięknie i ładnie, masz rację, ale co niby z tego, skoro i tak przegrałeś do zera? Nie zapaliłeś, tam gdzie wolno ci było zapalić, boś moralnie za wąty jak na powszechną zapiekłość ekologicznego fundamentalizmu.

Całe to kolejne pociągowe fiasko przypomina ci się - i słusznie - na premierze spektaklu „Sex, prochy, rock & roll” Erica Bogosiana. Prawidłowo ci się przypomina, bo też Bogosian najwyraźniej nie ma złudzeń. Z końcem stulecia jest już świata raczej coraz mniej, bo już raczej coraz mniej jest środka świata, najprzeróżniejszej maści codzienne fundamentalizmy rozciągają dzień codzienny do granic możliwości. U Bogosiana kloszard nie jest zwyczajnym kloszardem, on jest kloszardem obarczonym fundamentalną misją, jest kloszardem - prorokiem, któremu nie wystarczy twoje parę drobnych do kapelusza, jemu ty jesteś niezbędny, gdyż on cię przestrzec musi, byś tyle nie szczał, byś nie srał bez opamiętania, bo jak tak wszyscy będą dalej masowo pipi i kuku skutecznie, to kula ziemską gotowa się zaważyć do imiętu. Amator grillowania zaprasza cię do swego ogrodu nie na krwiste steki, lecz by ci udowodnić, że grill, krwisty stek, ogród, basen, dzieci i żona to jedyne, co może ci uratować

życie. Kaznodzieja celuje do ciebie z pistoletu i kadzi retoryką ściśle faszystowską, że musisz kochać Boga. Jakiś barowy Casanova wbija cię w kompleks niebывwałymi narracjami o jakości swych niezliczonych i niekończących się erekcji. Ślina człowieka, któremu się udało, oblepia cię szczerlnie i na amen. Miłośnik gmerania nożem w ludzkich wnętrznościach nie pozostawia ci wyjścia - musisz stanąć po stronie fachowego gmerania, jako jedynej sensownej formie ludzkiej aktywności. Dość już jednak, wystarczy, już jesteś w domu. Zapiekły nasz fundamentalizm codzienny kwitnie na każdym kroku. Prawie wszyscy popadają w jakieś własne oszalałe skrajności postaw, łapią cię za uszy, ciągną niepczytelnym patosem słów i zdań na swoją stronę. Faszizm ekologiczny, stalinizm kynologiczny, mużułmańska szarża miłośników kotlecików z soi, sine oko rekina z wielkim cycem w przedziale drugiej klasy koniecznej dla palących, nieskazitelnie spokojne ręce moralnych twardzieli, którzy piją wyłącznie mineralną, a i to nie do końca. Porażka w pociągu ci się znowu przypomina, później przypomina ci się „Pochwała niekonsekwencji” Leszka Kołakowskiego i ogarnia cię czarna zgroza: Świat traci ludzki środek, bo ludzie popadli w szal pospolitego ruszenia katastrofalnej konsekwentności wszystkiego. Nikt nie chce odpuścić. Nikt nie chce chodzić środkiem.

Zgroza, słusznie myślisz, że to zgroza, i masz rację twierdząc, że Tomasz Obara, jak mało kto w dzisiej-



szym teatrze, trafił tym swoim Bogosianem w czas. Przede wszystkim - trafił w strach. W tym wielkim monodramie zagrał wszystkie sześć oszalałych osobistości, od kloszarda - prozaka, do namolnego bubka, który proponuje, byśmy się wszyscy - w imię ludzkości - kochali i z dzióbków sobie jedli, zagrał sześć człowieczych nieszczęść, do dna zduszonych własnymi chorymi obsesjami, zagrał i pokazał, że w każdym codziennym fundamentalizmie, w każdej chwilowej zapiekłości czai się to samo. Pistolet, nóż, jakiś profil śmierci. W nieomylnie czystym geście Obarę, w jego śliskim uśmiechu, w sinych oczach miniaturowego rekina, w tym skrzeczącym głosiku Ryszarda III, jest coś z desperacji kurdupla, który zaraz cię zabije. W imię byle czego.

Nie przesadzaj więc, nie cuduj, bo i tak cię właściwie nie ma. Po monodramie Obarę nie popadaj w nałaby heroizmu. Oto wsiadasz do taksówki, całej wewnątrz oblepionej napisami *no smoking*, zajadający się surową marchwią kierowa pyta: *do kąd, a ty tu bez sensu, za to całkowicie w stylu Bogosiana, ripostujesz: do dupy, panie, do dupy...* Jakbyś nie wiedział, że w ojczyźnie fundamentalnych karłów zwyczajny człowiek środka albo milczy, albo wraca do domu piechotą. Bądź zatem mądry. I pisz wiersze.

Teatr Ludowy. Scena Pod Ratuszem. Eric Bogosian „Sex, prochy, rock & roll”. Reżyseria, opracowanie muzyczne i wykonanie Tomasz Obara.